

Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 44.

CHICAGO, 31-go PAŹDZIERNIKA (OCTOBER 31-st), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



W DZIEŃ ZADUSZNY.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy).

Zapomniałem o dzisiejszym świecie i zdaje mi się, że żyję w dawnym Egipcie.

Oto Izys, bogini na niebie, oto Sfinks szepcze coś do niej; oto za chwilę od piramid nadciągnie szereg białych hierodulów i pocznie się jakiś obrzęd święty i tajemniczy. To, co było dla mnie tylko teorią książkową, zmienia się w taką rzeczywistość, że aż jakaś trwoga zabobonna przejmuję.

Sfinks staje się do tego stopnia żywym, że próżno sobie powtarzasz, iż to tylko złudzenie światła. Nie podobna ocz oderwać od tej twarzy, która zwrócona wciąż na księżyc, uśmiecha się ciągle.

Widziałem ją potem we dnie, ale przy świetle słońca dostrzedz można w niej szczyrby, które porobił w niej czas; w nocy zaś, w srebrnym blasku księżyca, jest to zupełnie twarz ludzka, która drga, myśli i czuje.

Widać teraz rozkopane piaski, które pokrywały ciało Sfinksa, ale w nocy czyni to takie wrażenie, jakby on je sam odrzucił i podniósł się z ziemi, aby powitać księżyc i pogadać z nim o dziejach tak dawnych, jak nikt, prócz nich nie widział, nie pamiętał i nie zapisał.

Bo czego on nie widział? On, ten Sfinks, którego już Cheops naprawiał!

Stał już, gdy budowano piramidy, i tenże sam Cheops chronił się zapewne w jego cień przed skwarem słońca. Potem widział Mojżesza i Kambyzesa, Aleksandra i Ptolomeuszów, Cezara i Marka Antoniusza, Kleopatę i Najświętszą Pannę, Iunę pożaru Aleksandryi i dzikiego Amru, świętego Ludwika i Napoleona. Wszystko widział i uśmiechał się tak nocami do księżyca.

Wszystko to przeszło — on jeden został. Jest tak dawny, że go się prawie nie uważa za dzieło rąk ludzkich i mimowoli widzi się w jego ogromie coś wszechświatowego, jakby był stworzony z tego samego żywiołu, co i ten księżyc, z którym rozmawia w jasne noce.

I patrzą obaj na siebie w srebrnym świetle, wśród śpiącej pustyni.

Płowe jej piaski stają się teraz jasno zielone; opodal błyszczą się piramidy, za nimi przestrzeń pusta bez końca.

Spokój naokoło, tylko księżyc wzbija się wyżej i wyżej.

Z rozgrzanej w dzień od promieni słonecznych ziemi wstają opary i pełzną po pustyni, choć nie ma najmniejszego wiatru. Na chwilę przysłoniły Sfink-

sa, ale księżyc wnet go wydobył, opar zaś poszedł dalej i obwinał piramidę Menkera, która, nie wiem dlaczego, ze srebrnej stała się nagle różową, potem zgąsła, a potem znów odzyskała swą księżycową barwę.

Do świtu jeszcze było daleko, bo ni księżyc, ni gwiazdy nie bladły; ale noc dobiegała.

W namiotach beduińskich, leżących w głębi pustyni, ozwało się pianie koguta, a za tym pierwszym ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty; nagle dało się słyszeć skrzypienie piasku jakiegoś głosu, widocznie ktoś się zbliżał.

Jakoż po chwili, na piaszczystym wzniesieniu, za Sfinksem, zarysowała się sylwetka wielbłąda, a pod zgietą jego szyją dwóch beduinów, przybranych w długie, białe szaty.

I ten biblijny wielbłąd, oraz ci podobni do nocnych widziadeł, ludzie, byli jakby ostatnim akordem nokturnu — nocengo marzenia.

IV.

NA ZATOCE SUESKIEJ.

Na niemieckim statku „Bundesrath” 2-go lutego wypłynąłem ze Suez i przez cały ten dzień oraz następną noc, płynęliśmy zatoką Sueską. Morze Czerwone rozwidła się na północy na dwa ramiona, obejmujące półwysep Synaj. Zatoka Sueska, jakkolwiek szersza od drugiego ramienia, jest jednak tak wąską, że oba brzegi widać ciągle.

Dzień był pogodny; wiatr mieliśmy za sobą, skutkiem czego na przodzie statku rozpięto kilka żagli. Stada mew ciągnęły za nami, rzucając się co chwilę w spieniony szlak statku i walcząc o wyrzucenie z kuchni resztki. Ponieważ kapitan dał pozwolenie strzelania, poczęliśmy próbować tej zabawy, ale pierwsza postrzelona mewa, trzepocząca mdlejącymi skrzydłami na falach, odjęła nam ochotę do dalszego strzelania. Mewy mają to do siebie, że gdy jedna spadnie, inne krążą i zniżają się nad nią tłumnie, z niezmiernie żalosnym piskiem, jakby ją ratować chciały, i ten ptasi lament jest tak wzruszający, iż mimowoli człowiek ma uczucie, że spowodował nieszczęście.

Czyniło się coraz cieplej. Grube paltoty, w których wyruszyliśmy z Suez, okazały się już zbyt ciężkie. Słońce przesłaniało się wprawdzie co chwila chmurami, ale w przerwach dopiekało dość silnie. To podniesienie się temperatury, lubo stopniowe, było tak wyraźne, że chwilami doznawałem takiego wrażenia, jakiego się doznaje wchodząc z chłodu do ogrzanego pokoju. Nie był to jeszcze upał, ale jakby technienie łagodnej i cieplej wiosny.

Brzegi ciągle było widać, ale przedstawiają się jako jałowe, puste i pustynne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JÓZEF GRAJNERT.

ŻYCIE ZA WIARĘ.

Opowieść przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

— Ko cię tych modlitw nauczył?

— Ten sam ksiądz z Tarnowy — odpowiedział chłopiec — bywałem często u niego skrycie, wieczorami, to się i wyuczyłem tam nowej świętej wiary i chrzest od niego przyjąłem.

— A wiesz, co ten pacierz znaczy? — pytał dalej Żemajtys.

— Wiem, bo mnie tego ksiądz z Tarnowy uczył, a zna on trochę naszą mowę.

— Ażali i matka twoja jest chrześcijanką?

— Jeszcze nie ochrzczona, ale nosiła się z myślą nią zostać.

Powtórzył treść dalszej mowy Żemajtys młodemu księciu, który tak się odezwał: .

— Chłopca tego odprowadzić do naszego obozu, co jest pod lasami, i natychmiast, bez straty czasu, sprowadzić tu pułki nasze, dopóki Prusacy w swoim pogańskim Romene nic jeszcze o nas nie wiedzą.

Wyprawił za tem w drogę jednego ze swych jeźdźców, kazał chłopcu siąść za nim na koniu, trzymać się jeźdźnego w pół i w cwał popędzić z językiem do obozu.

W parę godzin już przybyli w skraj lasów hufiec elisława, a też i zastępy księcia Henryka z Goworkiem na czele.

Żemajtys poprowadził naszych pod obozowisko Prusaków w świętej ich miejscowości Romene zgromadzonych.

Gdy się wychylili z gęstwin na polanę, zabrzmiały razem trąby wojenne naszych, którzy z nastawionymi do kłucia włóczniami i z mieczami obnażonymi, przy okrzykach: „Jezus, Marya!” uderzyli na nieprzyjaciela.

Prusacy zaskoczeni z nienacka, w ogromnej trwodze poczęli się mieszać, wydawać swoje hasła bojowe, zbierać się do obrony, a przedewszystkiem rzucać się do bezładnej ucieczki. Zastępy rycerstwa naszego dobrze i pięknie uzbrojonego wydały się im, znać, murem nie do przełamania. Część wielka Prusaków wpadła w ciemne gąszcze i knieje, trudne do przebycia dla jeźdźców, a tuż przy polance szumiące. Resztę, jakich pół tysiąca, otoczyli i wzięli nasi do niewoli. Splądrowali jedną za drugą numę i odebrali wszystek prawie zrabowany dobytek, a też rozwiązali pęta kilkudziesięciu jeńcom, zabranym z gródków i nadgranicznych siół polskich.

Cała ta wyprawa obyła się bez przelania kropli krwi ludzkiej, jak sobie tego właśnie życzył Żemajtys.

Ale na próżno młody Zabałas szukał na bezkrwawem pobojuwisku swej matki pomiędzy jeńcami pruskimi. . . Zasmuconego oddał ksiązę Henryk pod opiekę księdza wikarego z Poznania, który też, mając na myśli zbawienie pogańskich jeńców pruskich, łagodnymi słowami w ich ojczyściej mowie i przychylnem obchodzeniem się starał zawczasu dobrać ich usposobić dla Wiary świętej.

Po chwilowym odpoczynku zastępy naszych, obciążone zebranymi wozami, jeńcami i dobytkiem, wracały tą samą drogą przez Tarnowę i Gniewków do Poznania.

Po odpoczynku w domu braterskim, ksiązę Henryk powrócił już teraz jawnie i swobodnie do swego Sandomierza. Neofitę Stanisława Zabałasa zabral ze sobą, aby go na wiernego sobie sługę i wojaka urobić, pod kierunkiem dzielnego Goworka. Temu chłopiec rad był niezmiernie; nie miał bowiem po co wracać już do pogańskich swych ziomeków. Ćwiczył się też chętnie w konnej jeździe i składaniu się po rycersku mieczem i włócznią. Martwiła go tylko niepewność, jaka dola spoktała w dalszym ciągu jego matkę tam, w dzikich borach, którą kochał z całej głębi swojego serca i ubóstwiał prawie. Ojciec jego już dawno nie żył.

Ciąg dalszy nastąpi.

SPOSÓB NA LALECZKĘ.

— Moja Mamo! z tą laleczką
Nie wytrzymam chyba dłużej!
Ciągłe stoi przed lusterkiem,
Ciągłe tylko oczka mruży!
To się muska, to się puszy,
To sukienki wciąż odmienia,
A co zniszczy kapeluszy!
Same, same utrapienia.
Ni do książki, ni do igły,
Tylko różne stroi miny,
Już doprawdy, proszę mamy,
Nie wytrzymam i godziny!
Na to mama: — Już ja tobie
Podam sposób na laleczkę:
Usiądź sobie tutaj przy mnie
I do ręki weź książeczkę.
Nie zagładaż przez dzień cały
Do lusterka, ucz się ładnie,
A zobaczysz, że i lalkę
Do tych minek chęć odpadnie.
Chcesz poprawić swą laleczkę,
Pracuj pilnie, pracuj szczerze. . .
Bo ci powiem, moja Julciu,
Ona z ciebie przykład bierze!

M. Konopnicka.

Chodził na „bum.”

Komedyjka dla dzieci w I akcie.

Osoby:

Mama

Janek, lat 11.

Wojtek, lat 10.

Policyant wysoki i barczysty.

SCENA I.

Pokój skromnie umeblowany, na ścianie zegar, na komodzie, lub szafce różga, na stole kłębki jedwabiu. Przy stole siedzi mama i haftuje, nucąc sobie godzinki. Przy drugim stoliku Janek pisze; książki, zeszyty i torba leżą w nieładzie na stole.—

Matka, wstając, kładzie robotę, wychodzi na środek pokoju i mówi:

— Toć to już prędko pora do szkoły,
A ten nasz Wojtek Boga się nie boi,
Całą noc go w domu nie było,
Może nieszczęście się przytrafiło,
Może wpadł pod karę, pokaleczony
Leży w szpitalu cały skwrawiony.
(Załamuje ręce).

O! jakże ciężko ten chłopak grzeszy,
Że się gdzieś włóczy, do domu nie śpieszy.
A tyle nauk i przestroóg tyła
W tę pustą głowę wkładałam co chwila,
I siostry w szkole wciąż nauczają,
Piękne przykłady opowiadają.
(Patrzy na zegar, potem bierze różgę)
— Niech jeno tato przyjdzie z roboty,
On go tą różgą nauczy cnoty.

Stukają do drzwi, wschodzi policyant i prowadzi za kołnierz skulonego Wojtkę. Wojtek obdarty, brudny, cały w błocie, siano we włosach, wystraszony, płacze.

Policyant grubym głosem:

„Czy to wasz syn?”

Mama: — Ach, to Wojtek! a gdzie on był?

Policyant: Znalazłem go w nocy pod wozem. Niech no ja jeszcze raz go złapię włóczącego się po ulicach, to zaprowadzę tam, skąd go nie prędko dośstaniecie. —

Mama: — Oj, skaramie Boże z tym chłopcem, — i biję i uczę — nic mu nie pomaga.

Policyant: — Jak on się nazywa?

Mama: — Wojciech Włóczęga!

Policyant zapisuje i wychodzi. — Wojtek stoi skulony przed matką.

Matka z gniewem podnosząc mu głowę:

— A gdzieś to noc spędził? obdarty i głodny,
Już do człowieka nawet niepodobny.

Podnosi mu brodę, on trze oczy i płacze.

Matka: — Istne straszdyło!

Tupie nogą:

— Gadaj mi zaraz, gdzie chodziłeś
I co noc całą w błocie robiłeś?

Wojtek skulony, trze oczy, głowa spuszczone.

Matka bierze różgę, grozi mu i mówi:

— Ja ci tu zaraz usta otworzę,
Dostaniesz różgą, nic niepomóże.

Wojtek ponuro:

Na „bum” chodziłem,
Potem zbłądziłem, ...

Więc się pod wozem spać położyłem.
(Ogląda swe buty).

A że tam było błota niemało,
To się odzienie jakoś zwałało.

Matka bierze za kołnierz Wojtkę, w drugą rękę różgę, podnosi ją i mówi gniewnie i krzykliwie:

— To ojciec musi ciężko pracować,
Żeby cię uczyć, karcić, wychować,
Szkolne zapłacić, kupić ubranie,
Da dobry obiad, rano śniadanie,
Kupuje książki, nic nie żałuje,
A on po nocach sobie wędruje.
Ja ci pokażę, jak na „bum” chodzić,
Ze złemi dziećmi gdzieś się tam wodzić!

Matka bierze się do bicia, wyprowadzając za drzwi Wojtkę, a on krzyczy:

— Mamo, nie będę, Mamo nie będę!

Za drzwiami słyszać bicie.

SCENA II.

Janek sam. — Kładzie pióro, przeciąga się, wstaje i mówi:

— Oh! trzeba iść do szkoły! Żeby to już prędzej wakacje. Dokuczyła mi już ta nauka, dokuczyła. Rano wstawaj, w klasie siedź cicho, ani się rusz, — a tam na farmie u wujka tak ładnie, zielono, ptaszki śpiewają, motyle latają, można się kąpać i łowić ryby, a tu nudź się nad książką, jak stary dziad. O! gdyby prędzej koniec tej nauce!

(Za drzwiami słyszać płacz Wojtkę).

Janek słucha, potem wskazuje palcem drzwi i mówi:

— Mama tam bije Wojtkę, a ja tu sobie trochę zaśpiewam. Jeszcze czas do szkoły, więc zaśpiewam o miłych wakacjach, to może prędzej przyjdą.

Śpiewa:

Hej, wakacye, to rzecz miła
Wyśmienita rzecz!
Już nauka się skończyła,
I swobodę dzieciom zsyła,
Książki idźcie precz,
Książki idźcie precz! —

Ranne wstanie, niedospanie
I rachunki te,
Namęczyłyście mnie nie raz,
Spoczywajcie sobie teraz,
Przez calutkie dnie,
Przez calutkie dnie.

Do dziewiątej, lub dziesiątej,
Będę sobie spać,
Przez calutkie dwa miesiące,
Kałamarka ani trączę,
Książki nie chcę znać,
Książki nie chcę znać,

Gramatyka, geografia,
Rysowanie map.
Nabrałem się za was nieraz
Z wielkim bólem, mocnym batem,
O! potężnych łap!
O! potężnych łap!

Wszystkie wiersze i historia,
Idźcie sobie w kąt,
Niech się was nauczą szczury,
I zawłoką do swej dziury,
Precz pójdziecie stąd,
Precz pójdziecie stąd.

A ty torbo obrzydliwa
Pójdiesz także w kąt,
Przez calutkie dwa miesiące,
Leżeć będziesz w pustym kącie,
Nim cię wezmę stąd,
Nim cię wezmę stąd.

Z dubeltówki strzelać będę,
Do wróbli i wron,
Nie doleci do mych uszu,
Nie przeszkodzi mi w zabawie
Nudny, szkolny dzwon,
Nudny, szkolny dzwon.

Lecz niestety, jeszcze miesiąc
Cały czekać mam,
O, gdyby już jak najprędzej,
Wylecieć. jak ptaszek wolny,
Rzucić książki tam,
Rzucić książki tam.

Rzuca książki w kąt, wtem wchodzi mama. —
Mama z oburzeniem, załamując ręce.

— Toś ty jeszcze do szkoły nie poszedł?

On tu sobie wyśpiewuje o wakacyach, rzuca
książkami, a ze szkoły przysłali kartkę; dla czego
nie przyszedł.

Czy nie chory? Pięknie mi chory! Ja ci tu dam
lekarstwo na tę chorobę, próżniaku jeden!

(Tupie nogą).

Pozbieraj mi zaraz książki i ruszaj do szkoły,
a na drogę dostaniesz pożegnanie.

(Godzi różgą).

Ja ci tu zaśpiewam, „książki idźcie precz!”

Za to, że się spóźnisz, dostaniesz na obiad je-
no chleb i wodę.

(Odwraca się i mówi:)

A to utrapienie z niemi, a ma głowę do nauki,
byle jeno chciał.

Janek kłęka, zbiera książki i dalej śpiewa:

— Daruj, mamó, żem zapomniiał,
Że do szkoły czas,
Żem cię teraz tak zasmucił,
Byłem leniwy, źle się uczył,
Ukarz obu nas!
Ukarz obu nas!
Wezmę się już do nauki,
I pocieszę cię,
Dokażę tej wielkiej sztuki,
Że pokonam me lenistwo,
I poprawię się,
I poprawię się.

(Całuje rękę matki).

Matka: — Weź książki i idź, a pamiętaj prze-
proś tam Siostry grzecznie, a pokornie, bo zrobić
głupstwo, każdy potrafi, ale grzecznie przeprosić i
poprawić się to tylko ten, kto ma dobry rozum.

Janek. — Dobrze, mamó, przyznaję się do wi-
ny i przeproszę, wiem, że tylko źli, nierozumni
chłopcy nie chcą przepraszać, a ja wiem, że źle zro-
biłem i chcę się poprawić. Gotów jestem wcale nie
jechać na wakacye do wujka, zostanę w domu, tobie
mamó w pracy pomagać.

Wchodzi Wojtek umyty, przebrany czysto, trą-
ca Janka i mówi:

— Chodźmy razem do szkoły.

Zwracając się do matki, mówi:

— Daruj mi, mamó, to na „bum” chodzenie,
I takie wielkie twoje zmartwienie.

Już tego nigdy więcej nie zrobię
Bom mocno w sercu postanowił sobie.

O, jakże bardzo, bardzo żałuję

I poprawę obiecuję.

Mama: Przebaczam wam z całego serca chłopcy, bo widzę waszą skruchę i wierzę, że pragniecie się poprawić.

Janek: — O tak, mamó, będę zawsze dobrze się uczył i przed czasem nie będę myślał o wakacjach.

— Wojtek: — I ja także, nigdy, nigdy na „bum” nie pójdę.

Mama obejmując obu:

Niech wam Pan Bóg dopomaga, drogie dzieci, wytrwajcie w waszych postanowieniach.

S. Helena C. R.

ZA MOGIŁĄ.

W dzień zaduszny.

Za mogiłą, któż odgadnie,
Co czeka człowieka?
Czy noc wieczna, czy do nieba
Droga mu daleka!
Czy pójdzie wprost w świat szczęścia
Z jasnością u czoła...
Któż odgadnie, co człek znajdzie,
Gdy go Bóg powoła?

Za mogiłą życie wieczne
Otwiera swe wrota,
Szczęśliw, za kim tam się wstawi
Promienista cnota,
Komu rękę swoją poda
Pobożność wytrwała —
I uczciwość za kim będzie
Szczerze przemawiała.

Za mogiłą świat nieznany
Nieznany — daleki...
Kto tam pójdzie, już nie wróci
Na wieki! na wieki!
My tu płaczem w tęsknym bólu
Za tymi, co w grobie
I w dzień smutny, w dzień zaduszny
Modlim się w żałobie.

Za mogiłą Anioł Boży
Nasze modły zbiera,
Niemi ściera winy zmarłych,
Spokój im otwiera.
Więc dlatego szepcem z łzami
„Wieczne spoczywanie
Duszo zmarłych braci naszych
O! raczże dać Panie!”

Za mogiłą — wieluż drogich
Już naszych spoczywa —
Wieluż cierpi za swe winy,
Ratunku przyzywa.

O! pomnijmy o nich teraz
I błagajmy Pana,
Aby cisza wieczna, jasna,
Była im już dana.

Za mogiłą i my kiedyś
Także się znajdziemy,
Z wieńcem zasług naszych cichych
Przed Bogiem staniemy.
Nie lekajmy się tej chwili,
Iecz strzeżmy się winy...
A spoczynek da nam wieczny
Wielki Bóg — jedyny!

CYKLONY — TAJFUNY.

W Stanach Zjednoczonych, od oceanu Atlantyckiego do gór Skalistych, ciągnie się olbrzymie terytorium, prawie zupełnie płaskie, ledwie porzerzytane małymi wzgórzami. Wiatry północne hulażą po tej równinie bez granic i spotykają się z innymi, wiejącymi od Atlantyku. To starcie się prądów powietrznych daje początek niezmiernie czestym cyklonom.

W okresie sześcioletnim od 1875 do 1881 roku liczono ich 451, a mniej niż we dwa lata, od lutego 1880 do sierpnia 1881 r. ofiarą wichrów owych padło 177 ludzi zabitych i 539 ciężko rannych, nadto zburzyły one 988 domów, zniosły doszczętnie 5 wiosek z zaludnieniem od 100 do 1000 mieszkańców. W ciągu ośmiu lat, od 1892 do 1900 r., straty spowodowane przez cyklony, doszły do 26 milionów dolarów. Liczba zaś osób zabitych dosięgła niestłuchanej cyfry 3000.

Cyklon z Delphos, Kansas, który zerwał się w nocy roku 1879, przeraził do najwyższego stopnia umysły. Długi czas tysiące mieszkańców nie udawało się wcale na spoczynek, spędzając nocę na czuwaniu. Znajdowano umarłych zupełnie огоłych z ubrania i pograżonych w błocie. Pewien mieszkaniec, który szukał schronienia w stogu siana, został uniesiony w powietrze: przelatując jak balon około konia, uchwycił go za grzywę, a nie mógł się jednak utrzymać. Odnaleziono go później daleko zemdłonego z garścią włośia w ręku. Koń został odrzucony o 800 metrów i spłaszczony tak silnie, jakby wyszedł z maszyny do walcowania blachy. Dom murowany rzucił wicher o 100 metrów od miejsca, na którym był zbudowany. Szum rozkiełzanych żywiołów towarzyszył tej katastrofie. Przeciwnie cyklon, który zniósł miasto Laverence, w Massachusetts, w lipcu 1891 r. dokonał dzieła zniszczenia pośród straszliwej ciszy; ani grzmotu, ani deszczu, ani wyjącego wichru. Zdawało się, że niewidzialna ręka, przebiegając przestrzeń, zrywała dzwonicę kościoła i przewracała domy na bok.

Fakt dziwny: pewne części miasta pozostały nie-
tknięte; wirująca kolumna cyklonu wznosiła się i
opadała, siejąc zniszczenie tam tylko, gdzie dotknęła
ziemi.

Ileż klęsk jest do zapisania co rok na teryto-
ryum Stanów Zjednoczonych! W 1890 r. miasto
Sherman w Oklahoma zostało dziwnie zburzone.
Większość domów miała tylko jedną ścianę rozwa-

ści, jak gdyby proste latawce, inny jeszcze obala bę-
dące w biegu pociągi; ten ostatni fakt przytrafia
się aż nazbyt często.

Cyklon z dnia 29 kwietnia 1892 r. na wyspie
św. Maurycego zniszczył zupełnie część zachodnią
stolicy, Port - Louis, i uszkodził inne dzielnice.
Jego trwanie, z racji gwałtowności, było krótkie;
zaczął się o 11 rano, osiągnął najwyższej siły



CYKLON

loną w stronę przeciwną cyklonowi. W miesz-
meble, nieporuszone z miejsca. W r. 1897 w Grin-
kaniach, odsłoniętych w ten sposób, odnajdywano
nel, Iowa, wyrzywa grunt na kilka metrów głęboko-
ści, w Pomery, w Illinois, rzuca domy jeden na
drugi i tworzy z nich stos nieopisany, w Kirks-
ville, w roku 1899 unosi mieszkańców, psy, konie i
woły na 50 metrów w górę. Inny cyklon w Michiga-
nie porywa łodzie, a nawet statki większej objęto-

o godz. 3ciej po południu, a zakończył się trochę
przed szóstą. Oto wzruszające opowiadanie świad-
ka tej katastrofy:

„Ranek — pisze pewna mieszkanka wyspy św.
Maurycego, panna Baissac — był podobny do wszy-
stkich ranków dni pogodnych, w klimacie między-
zwrotnikowym. Wtem puścił się deszcz ulewny;
wkrótce powódź zagrażała niższej części Port-
Louis.

Ciąg dalszy nastąpi.

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcji: **MACIERZ POLSKA,**

81 INGRAHAM STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

Prenumerata roczna wynosi \$1.00,
lub miesięcznie 10 ct

Pojedynczy numer 3 centy

Adres administracji: **MACIERZ POLSKA,**

141-143 W. DIVISION STREET,

CHICAGO, ILL.

MACIERZ POLSKA

AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE

Issued at Chicago every Thursday.

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**

81 INGRAHAM STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month.

Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

**UROCZYSTOŚĆ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
I DZIEŃ ZADUSZNY.**

Pierwsze dwa dni listopada są przeznaczone na obchód uroczystości posiadających znaczenie wielce głębokie.

Dnia pierwszego Kościół Wojujący oddaje chwałę Kościołowi Tryumfującemu, znajdującemu się w niebie. Początek tej uroczystości sięga odległych czasów, kiedy pogańska świątynia, znajdująca się w Rzymie, zwana Panteonem, zmieniona została na kościół chrześcijański ku czci i chwale Matki Boskiej i wszystkich Świętych. Ową świątynię zbudował cesarz rzymski, Marek Antonin na lat kilka przed Chrystusem P., a to w celu upamiętnienia zwycięstwa swojego pod Akcyum, wskutek którego to zwycięstwa stał się panem i władcą ówczesnego świata. Świątynię nazwano **Panteonem**, co znaczy: dla wszystkich bogów, bo przeznaczoną została dla wszystkich bogów pogańskich, nie tylko rzymskich, ale i greckich, egipskich itd. Kształt miała dziwny: była to budowla okrągła, bez filarów, bez okien, bez sufitu i bez dachu. Gdy cesarze rzymscy przyjęli chrześcijaństwo, rozkazali burzyć pogańskie świątynię, Panteonu jednak nie zburzono. Świątynia ta ocalała i przez długi czas była zamkniętą, świadcząc tylko, że kiedyś w Mieście Wiecznym składano bałwanom ofiary. Dopiero Papież Bonifacy IV otworzył Panteon i zamienił go na świątynię chrześcijańską.

Usunąwszy z budynku pogańskie ołtarze, które tam dotąd nieruszone stały, pobudowano ołtarze, w nich zaś umieszczono relikwie Męczenników, wydobyte z katakumb.

Wieść niesie, że zgromadzono 28 wozów kości umęczonych za wiarę św. ludzi. Odtąd też zaczęto corocznie obchodzić pamiątkę Wszystkich Męczenników.

Nie była to jeszcze właściwa uroczystość Wszystkich Świętych, tę bowiem zaczęto obchodzić w Rzymie później, bo około 731 r., kiedy Papież Grzegorz III wybudował przy Watykanie kaplicę, przeznaczoną ku czci Zbawiciela, Matki Boskiej, Apostołów, Męczenników i Wyznawców, słowem ku czci Wszystkich Świętych, cieszących się już wiecznem szczęściem w niebie.

Z początku uroczystość obchodzono tylko w Rzymie, dopiero Papież Grzegorz IV, około r. 835, rozszerzył ją na cały świat.

Celem tej uroczystości jest oddanie czci Bogu przez uczczenie Jego świętych, którzy, żyjąc w takich samych, często gorszych okolicznościach, potrafili zwyciężyć wszelkie przeszkody i uświęcili się, pokazując tym sposobem, że i my za łaską Bożą możemy się również uświęcić jeżeli tylko chcemy tego i jeżeli według możliwości i okoliczności będziemy naśladowali świętych.

Na drugi dzień po uroczystości Wszystkich Świętych, Kościół obchodzi „Dzień Zaduszny”, czyli „wspomnienie wiernych zmarłych”. Kościół umieścił te dwie uroczystości obok siebie, żeby uwidocznić, iż pomiędzy Kościołem Tryumfującym, tj., Świętymi w niebie, Kościołem Cierpiącym, tj. duszami w czyśćcu i Kościołem Wojującym na ziemi istnieje łączność, o której codziennie mówimy w pa-cierzu: „Wierzę w świętych obcowanie”.

Dzień zaduszny został ustanowiony daleko później, niż uroczystość Wszystkich ŚŚ., bo dopiero w początkach XII w. żył wówczas święty Odilon, opat klasztoru Kluniackiego. Mąż ten wielką czuł litość dla dusz czyśćcowych, a mając mnóstwo dowodów, że duszom tym żyjący może przynosić ulgę swymi modlitwami i dobrymi uczynkami, wyznaczył wszystkim klasztorom swego zakonu jeden dzień w roku na szczególne nabożeństwo za dusze czyśćcowe. Zwyczaj ten wkrótce potem papieże rozciągnęli na cały świat chrześcijański.

Nabożeństwo żałobne za dusze w czyśćcu rozpoczyna się nieszporemi żałobnymi po nieszpórach przypadających na uroczystość Wszystkich Świętych. Po nieszpórach odbywa się procesja na cmentarz, gdzie kapłani i lud modlą się za wszystkie dusze zmarłych, na cmentarzu spoczywających. W Dzień Zaduszny zaś po wszystkich kościołach na całym świecie odprawia się uroczyste nabożeństwo żałobne. Msza św., a potem ekzekwie, często i nauka wobec ustawionego na środku kościoła katafalku. Istnieje też zwyczaj, że w Dzień Zaduszny oświetlają ludzie groby zmarłych swoich krewnych. Cmentarz wtedy przedstawia nader uroczysty wi-

dok. W Polsce na cmentarzach w ten wieczór śpiewają starodawną pieśń: „Przez czyścowe upalenia” itd. Znaną też jest czytelnikom i druga pieśń: „Dzień on, dzień sądu Pańskiego”, którą śpiewają w czasie procesyi żałobnej, albo przed żałobnem nabożeństwem. Pieśń tę ułożył po łacinie Franciszkanin, Tomasz z Celano we więzieniu, do którego został niewinnie wtrącony. Polskie jej tłumaczenie, które zwykle po kościołach śpiewają, jest bardzo słabe i niewudolne. Zamiast pierwotnego tłumaczenia, należałoby wprowadzić tłumaczenie sławnego naszego poety Bohdana Zaleskiego. Piękne to tłumaczenie wzniosłej owej pieśni brzmi jak następuje:

dze tam wzrok Boży, któż się w kościach nie zatrwoży?

— Biadaż! — rozjęk na otchłani. — Biada nam, gdy ani bezpieczniejsi tu wybrani!

Królu w grozie przewielmożny! otom drżący, wielce trwożny: ufa w łasce Twej, kto zbożny.

Jezu miły, ujmij trwogi! Jam Cię w niebie Twem, przestrogi zbrodzień, skłonił w świat do drogi.

Dla mież zstąpił na te ciemnie, krzyż podniśles Twój przeze mnie, nichże oh! nie nadaremnie.

Sprawiedliwys w pomście, Panie! Przyjmij w czas me pokajanie, zanim straszny sąd nastanie.



CMENTARZ PRZY ZACHODZIE SŁOŃCA.

Rys. H. Grabiński.

„Dzień on pomsty, dzień pośledni zetrze świat na proch bezedni, w głos prorockich przepowiedni.

Jakiż padnie strach zarzewny, kiedy zstąpi Sędzia gniewny, wkroś widzący, wszego pewny!

Trąba w rozruk gromowładny, przez grobowe wkrąg posady, na sąd straszny pchnie gromady!

Ogromieje śmierć — stworzeńce, z wieka wieków śmierci jeńce, wstają z martwych w grozy męce.

Cyt! — na ościerz księga świata, w której grzeszne wieki, lata, w której każn ich i zatrata.

Pan i Sędzia w gniew się sroży; utkwion w księ-

W gorzkich mękach, nędznik, stoję, grzech sromoci czoło moje, Panie, uśmierz niepokoję!

Przebaczyłeś Magdalenie, łotr pozyskał przebaczenie, mnieś ośmielił nieskończenie.

O! nie w lichej własnej skrusze, lecz w dobroci Twojej tuszę, że nie wydasz na katusze.

Tam kozłowie gzą niekarni: Panie, włacz mnie do owczarni, na prawicę Twą przygarnij!

W groźny głos: — Precz, potępieni, w otchłan wiecznych tam płomieni! — niech ostoje się w o-cieni.

Panie! jęczę pełnem łonem, sercem w żalu spoielonem, miej mnie w łasce Twej, w dniu onym!

Oplakanyż on, dzień kaźni, dzień, co z prochu tam w bojaźni winowajcę na sąd złowi.

Boże, przepuść grzesznikowi! Miłosierny Jezu, Panie, daj mu w Tobie spoczywanie!"

Nauoczcie się czytelnicy tej ślicznej pieśni i śpiewajcie ją często. Nadto mali czytelnicy nie zapominajcie w Dniu Zadusznym pomodlić się gorąco za dusze w czyśćcu cierpiące. Odmówcie sobie koronkę, litanię, albo inne jakieś modlitwy. Biedne duszyczki czyścowe będą wam za to wdzięczne i prosić będą Boga o łaski dla was. Na zakończenie przytoczę wam, dzieci, wyjątek ze ślicznego opisu dnia zadusznego w Polsce przez sławnego poetę Wincentego Pola.

„Z dała słyszać wiejskie dzwony i lud tłumnie ciągnie w bieli od kościoła przez zagony. To śnać pogrzeb będziemy mieli! Śpiew żałobny płynie rosą, ale trumny nie niosą... To po zmarłych upominek! Po cmentarzu się rozbiegli; klęcząc, każdy krzyż oblegi; więc i „wieczny odpoczynek!” Dzień Zaduszny serce święci, i powszednie dzieje chaty, i najcięższe życia straty stają żywo tu w pamięci... Kmiecie stoją zadumani: śmierć nie straszna lecz Sąd Boski i niedola serce rani — owo całe dzieje wioski. I na grobach każdy składa upominki i obiaty, i o swoich opowiada — owo dzieje polskiej chaty!

Dzień Zaduszny! Każdy składa po pacierzu, na krzyżyki żółte wieńce śmiertelniki i sny nocne opowiada, sny wiecznego pełne ducha i czyścowej pełne męki — więc z bojaźnią ktądś słuca i na grobach znowu w klęki. Niejednego duch nawiedził i upraszał o ofiarę, bo się dotąd będzie biedził, aż syn zmaże krzywdy stare. Więc syn prosi gospodarzy o ofiarę i przyczynę, o ofiarę u ołtarzy, bo chce spłacić ojca winę. Ktoś tam znowu inny prawi, że czerwony upiór póty nie zakończy swej pokuty, aż gromada krzyż postawi, na mogile u rozdroża. Więc dumają, z cicha radzą i stanęło, że krzyż dadzą, kiedy taka Boża wola. Ktoś inny znów widział we śnie, jak czyścowe te duszyczki po cmentarzu szły z kapliczki i śpiewały tak boleśnie Matki Bożej wielką chwałę, że już odtąd noce całe spać nie może — a więc prosi dla duszyczek o trzy wianki i dla Maryi o firanki. Bo jak Święta Pani zrosi łzami swemi grzeszną duszę, to się kończą jej katusze. Ktoś znów inny opowiada, że duszyczek tych gromada, już bielutka i wesółka, szła z cmentarza do kościoła. I że słyszał, jak duszyczki, już szczęśliwe i weselne, upraszały o kościelne światło Boga, i śpiewając, i do okien tych pukając, skrzydełkami trzepotały, aż się zrobił już dzień biały, Dzień Zaduszny — aż na święto drzwi kościoła odemknęto. Jak gołębi tedy stado oble-

ciały już dokoła cały kościół i gromadą drzwiami wpadły do kościoła. Stoją kmiecie zadumani... Próżno dumać, próżno prawić! I to boli, i to rani więc żywota nie poprawić. I jak przyszli, tak wracają, zadumani i wzruszeni; gwarząc jeszcze, często stają, aż już znikli gdzieś wśród cieni.

Na cmentarzu tylko troje jeszcze ludzi pozostało: śnać małżeństwo, bo tu dwoje, a tam wdowa z dziatwą małą. W trzy mogiłki młode stadło patrzyć z żalem, a tam wdowa płacze. — Biedna moja głowa, że sierotą być nam padło! — Chodźmy, żono — mąż powiada — nie wypłaczem, nie wystoim... Ot, zabierzmy wdowę z trojem, wszak przytulić ich wypada? — I zabrali, wdowę ciesząc, co przybyła gdzieś z daleka. A ode wsi bieży, śpieszac, jakaś psina i zaszczeka. A więc patrzą: koło płota, pod piołunem — a na grobie siedząc, płacząc, jak sierota, jakaś nędza na mogile, aż usnęła w końcu sobie, bo jej rzekli tylko tyle: — To grób matki, ty wiedz o tem; grób bez krzyża, a pod Piotem! — Stojąc, patrzą wszystko troje, psina leżała przy sierocie. Więc nie pomnąc smutki swoje, lecz w litości i szczerocie biedne dziecię z sobą wzięli i odchodzą ze cmentarza. Psina przodem się weseli, a na twarzy gospodarza myśl zabłyśnie i pociecha. — Słuchaj żono... Bóg wziął troje... Gdy bez dziatwy nasza strzecha, weźmy dziecię to za swoje. Wszak nie darmo świat to prawi, że gdzie chowa się sierota, Bóg tej strzesze błogosławi i słoneczko tam we wrota... — Bóg przemówi śnać przez ciebie — rzekła żona i przytuliła biedne dziecię już do siebie i rańtuchem omatula. I przyjęli na gościnę biedną wdowę z sierotami, błędne dziecię, błędną psinę i nie byli w sercu sami.

W moc modlitwy zbrojna wiaro! co z duchami duchy łączy, co tak wielką mięrzysz miarą, że się żywot tu nie kończy — wiarą w karę i w nagrodę, w wspólność duchów i swobodę, dobrej woli świętej woli ty przyświecaj synom roli. Bo ty trzymasz to sumienie, jak na wodzy w ojców wierze, i przykazań Bożych strzeże, co na pieczy ma zbawienie. Wielka wiaro tej prostoty! ty się trzymaj wiejskiej strzechy, i od wdowy, od sieroty bierz otuchy i pociechy."

ZOSIA I KARZEŁKI.

Zosia mieszka na dużej farmie, której ojciec jej jest właścicielem.

Była ona sierotką. Gdy zaczynała chodzić, umarła jej matka. Od tego czasu chowała się Zosia pod okiem ojca i starszej niańki — Józefy. Gdy miała trzynaście lat, ojciec oddał jej w ręce całe gospodarstwo domowe. W wolnych od nauki chwilach chodziła Zosia do ogrodu, pilnowała zbierania owoców, wydawała bieliznę do prania, cerowała ją i na-

prawiała, chodziła też do swojego ptastwa i rzucała mu z fartuszką ziarnka zboża. Kury, kaczki, całe stada gęsi, indyków i gołębi leciały, co się starczyło, ujrawszy z daleka jasną sukienkę Zosi. Gołąbki siadały jej na ramieniu i gruchały, prosząc, aby je pierw nakarmiła. Z początku te zajęcia bawiły dziewczynkę bardzo, ale po kilku dniach, spostrzegła, że dzień jest za krótki na tyle zajęcia. Oddając się zanadto jednej pracy zaniedbywa drugą i tak: przy owocach zapominała o kuchni, przy cerowaniu o swoim drobiu. Biedna Zosia, martwiła się tem bardzo, bo pragnęła sumiennie wypełniać obowiązki, nie sprawić ojcu zmartwienia, łamała więc sobie główkę, jakby wynaleźć tyle czasu, aby go na wszystko starczyło.

Pewnego dnia siedziała zmartwiona na ławeczce przed domem i myślała sobie.

— Za dużo mam zajęcia... Ach, czemuż nie ma na świecie tych dobrych wrózek z bajek, może one pomogłyby mi...

— Otóż jestem! — usłyszała blisko siebie jakiś głos.

Przestraszona, obejrzała się i ujrzała obok jakąś starą kobietę. Patrzała ona na Zosię takim wzrokiem, jakby chciała przeczytać, co się na dnie serduszka jej dzieje.

Upłynęła długa chwila, zanim Zosia zebrała odwagę i przywitawszy starą kobietę niskim ukłonem, przemówiła grzecznie, czem może jej służyć.

— Ależ to ja przyszedł tobie usłużyć — odpowiedziała staruszka. — Usłyszałam twoją skargę i przyniosłam ci wszystko, co ci w zmartwieniu pomódz może.

— Doprawdy, dobra wróżko! — zawołała Zosia, którą strach nagle opuścił. — Czy przynosisz mi jakiś czarodziejski proszek, za którego pomocą robota w mgnieniu oka będzie ukończona?

— O, nie — rzekła wróżka, — przynoszę ci coś lepszego, gdyż dziesięciu małych robotników, którzy cię we wszystkim będą słuchali. Zaraz ich zobaczysz!

Z temi słowy otworzyła swój mały koszyczek, skąd wyskoczyło prędko dziesięciu karzełków, rozmaitej wielkości.

Pierwsze dwa karzełki były małe grube, ale mocne i zręczne.

— Te dwa — rzekła wróżka — są najmocniejsze, będą ci pomagały przy pracy każdej, choćby najcięższej. Dwa drugie, długie i zgrabne, doskonale nawłóczą igiełki i są zręczne do każdej pracy. Trzecia para jest tej samej wielkości, co druga, również do każdej pracy przydatna, szczególnie jeden karlik z tej pary jest bardzo zręczny do szycia i dla tego też włożyłam mu na głowę srebrny kapelusik, żeby go główka nie bolała, jak będzie nią przesuwiał igiełkę przez grube płótna i tkani-

ny. Dwaj jego młodsi braciszkwowie z których jeden nosi zwykle ładny pierścionelek, jako pasek, są słabsi, niż inni, serdecznie pomagają braciom, jeżeli trzeba coś nieść, lub trzymać. Jeszcze są dwa najmłodsze karzełki, ładniutki chłopczęta, lecz wątłe i słabe. Zasługują one na szacunek, bo pomagają braciom, ile tylko sił starczy.

Staruszka kiwnęła palcem i w jednej chwili dziesięciu karzełków rzuciło się do roboty. Uprzątnęły pokój, pościierały kurze, obejrzały i naprawiły bieliznę, pozbierały leżące w ogrodzie owoce i złożyły je do spiżarni, wydały ludziom podwieczorek i nakarmiły drób.

Milcząc, spełniały wszystko, co miały do zrobienia. Od czasu do czasu spoglądały na wiszący, ścienny zegar, jakby chcąc się przekonać, czy wszystko według godzin spełniają.

Widząc, że ta sama robota, z którą sobie Zosia rady dać nie mogła, idzie tak prędko i zręcznie, zwróciła się dziewczynka z gorącą prośbą do staruszki:

— Moja dobra staruszeko! zostawcie mi tych dziesięciu karzełków...

— Będziesz ich miała — brzmiała odpowiedź — ponieważ jednak byłoby bardzo trudno wszędzie prowadzić ich za sobą, więc ja im każę wskoczyć do twoich dziesięciu palców, które masz u obu rąk.

— Ty nie wiesz — mówiła wróżka — jaki skarb posiadasz w tych dziesięciu palcach. Tylko zobaczmy, czy będziesz go umiała dobrze użyć. Jeżeli będziesz swe paluszki trzymała w rygorze i posłuszeństwie i pilnie uważała na zegarek, czy każda praca według godziny jest wypełnioną, to na nic ci czasu nie zbraknie, a kto wie, może nawet zostanie jaka wolna chwilka na zabawę i odpoczynek.

Musiła Zosia dobrze usłuchać rad staruszki, gdyż odtąd całe jej gospodarstwo poszło inaczej. Obiad był zawsze na czas wydany, bielizna naprawiona, drób nakarmiony... Zniknął jej smutek, twarzyczka pierwwej zapłakana, teraz była wesoła, od rana aż do wieczora rozlegały się po całym domu wesołe piosenki, śpiewane przez pracowitą Zosię. Tatusz nie mógł się nadziwić pracowitości i wesołości Zosi, kochał ją też coraz to silniej, serdeczniej.

Powinszowania matce.

Kochana Mamo! zamiast coby kwiecie
Serce Ci składa w ofierze Twe dziecko.

Pierwsze wyrazy moja Mamo droga!
Za Twe szczęście wymawiam do Boga.

Jedynym celem mojej jest miłości,
Abym spłaciła Mamie dług wdzięczności.

BEZ RODZINY.

WEDŁUG POWIEŚCI

H. MALOTA.

Ciąg dalszy.

POŻEGNANIE.

Podczas kiedy Wincenty raczył się wódką, z ciekawością przypatrywałem się nowemu memu opiekunowi. Był to 70 letni starzec, o twarzy czerstwej i rumianej. Białe, jak śnieg włosy, pokrywały mu głowę, a przez przerzedzone nad wypukłym czołem, przeświecała skóra spalona i żółta. Brwi miał nadzwyczaj gęste, białe z ciemnymi od spodu pęczkami; widać było, że umiały się ściągać groźnie, a oczy, chociaż spłowiałe już i zamglone, mogłyby w razie potrzeby błysnąć ożywieniem lub gniewem; wąsy miał sumiaste i długą piękną brodę. Trzymał się nadzwyczaj prosto; ruchy jego były zręczne, ciało gibkie. U boku miał zawieszoną skórzaną torbę, a na ławie leżał płaszcz nieprzemakalny z kapturem i kapelusz z bardzo szerokimi brzegami.

Obydwa moi opiekunowie jedli przy stoliku. Witalis kilkakrotnie już podawał mi po kawałku chleba z paru plasterkami kiełbasy, a gdy się dowiedział, że od rana, prócz wczesnego śniadania, nic w ustach nie miał, kazał karczmarce ugotować dla mnie miskę polewki. Tymczasem częstował mnie znowu kilełbasą. Gdy odbierał z rąk jego ten posiłek, z rogu pokoju dało się słyszeć głośne ujadanie: Kapi, to jest pies czarny, czekał, patrząc na stół. Podniosłem głowę w kierunku jego spojrzenia i zobaczyłem stojące na stole dziwne stworzenie, wielkości małego pieska, całe obrosnięte szarą sierścią; miało ono zamiast nóg, łapy podobne do rąk ludzkich, mordeczka zaś zgrabna o żywych i sprytnych oczach, odznaczała się zadartym nosem i wyrazem pojętym, niemal ludzkim. Musiała to być owa małpka, o której wspominał Witalis. Korzystając widocznie z tego, że pan jej zwrócił na mnie uwagę, małpka sięgnęła po szklankę z piwem i do ust ją niosła, gdy Kapi ostrzegł o tem swego pana głośnym ujadaniem.

— Fryga, do kąta! — zawołał rozgniewany Witalis. — Niech Zerbino pilnuje, żeby mi się nie ruszyła, póki na to nie pozwolę. Jest zła i nieposłuszną. Kapi za to jest poczciwym psem. Chodź tu, niech ci z ato podziękuje.

Natychmiast małpeczka nazwana Frygą, z głową smutnie spuszczoną poszła do kąta i stanęła w nim z nosem obróconym do ściany. Z pod ławy wyszedł biały pudel, Zerbino, i począł jak żołnierz, odbywający wartę, chodzić tam i napowrót przed stojącą w kącie Frygą. Kapi tymczasem, z radośnie podniesionym ogonem, zbliżył się do swego pana,

stanął przed nim na tylnych łapach, przednią lewą skurczył, a prawą wyciągnął. Witalis ujął tę, jakby na powitanie wyciągniętą łapę i wstrząsnął nią silnie, niby dłonią przyjaciela.

Gdy zjadł przyniesioną mi przez karczmarcę polewkę, Witalis rzekł mi:

Widocznie jesteś bardzo zmęczony, a tymczasem czeka nas jutro daleka podróż. Połóż się więc tam, na grochowinach i staraj zasnąć. To mówiąc, wskazał mi przyległą do izby komorę, zupełnie ciemną i znacznie chłodniejszą. Zmęczony upadłem bezwładnie na grochowiny, ale od razu zasnąć nie mogłem. „Czy teraz już codzień — myślałem — po długiej i uciążliwej drodze, będę sypiał w chłodnej izbie, na nieporządnym barłogu? Czy rozstawszy się bez pożegnania z matką, nie ujrzę jej już nigdy? Ona jedna była dla mnie wszystkim, a teraz jestem tak samotnym i opuszczonym, jak bezbronne pisklę, z rodzinnego wyrzucone gniazda... Niema nikogo, kto by mnie kochał, a choćby zatroszczył się tylko o mnie!”

Gdy tak smutnie rozmyślałem, trzęsąc się z zimna, a łzy gorące spływały mi po policzkach i padały na wysunięte grochowiny, uczułem nad sobą oddech ciepły, który twarz mi ogrzał i pomiędzy włosy przeniknął. Z trwogą otworzyłem oczy i ujrzałem pochyloną nademną głowę czarnego Kapi. Zbliżył się o niczutko i począł mnie obwąchiwać.

„Czy czasem nie ma zamiaru mnie ugryźć” — pomyślałem w trwodze, nie ruszając się z miejsca.

Tymczasem Kapi pochylił się nademną jeszcze niżej i począł lizać mi ręce. Kochane, pocziwe pisko, zdawało się, jak gdyby zrozumiał mój smutek i przyszedł mnie pocieszyć. Wzruszony jego dobrocią, uniosłem się z posłania i pocałowałem go w zimny nos. Kapi za całą odpowiedź położył się przy mnie na grochowinach, wyciągając do mnie swe kudłate łapy. Przytuliwszy się do niego, było mi cieplej i nie czułem się tak osamotnionym, gdyż znalazłem przyjaciela.

Nazajutrz, zerwawszy się na równe nogi, wbiegłem do przeciwległej izby: wczoraj ludna i pełna wesołych gości, była dziś pusta, tylko straż karczmarka, zgięta we dwoje, zamiatała podłogę, a na ławie siedział Witalis, ubrany jak do drogi, w płaszczu, z torbami przy boku. Pieski biegały do koła niego, zaglądając mu w oczy, i zdając się o coś go prosić.

— Widzisz, jak to się niecierpliwimy, czekając na ciebie ze śniadaniem, — rzekł wesoło staruszek, a zwracając się do psów surowiej dodał. — Stanąć w ordynku!

Psy, opierając się tylko na tylnych łapach, stanęły jeden przy drugim i wyciągnęły się jak struny. Witalis wziął bochenek chleba, rozdzielony już na sześć równych części i kolejno rozdawał je po ka-

wałku mnie, małpce i psom. Potem skinął na karczmarkę, a ta przyniosła mu na misie trochę gotowego mleka. Po skończonem śniadaniu, Witalis zapłacił karczmarce i rzekł: — A teraz w drogę! — Psy, jak gdyby rozumiały dobrze słowa gospodarza, rzuciły się do drzwi, Fryga zaś, jak kot, zręcznie wdrapała się Witalisowi aż na piersi i tu zasunęła mu się pod płaszcz tak, że tylko poruszające się fałdy płaszcza zdradzały, że pod nim znajduje się ukryte żywe stworzenie.

Wyszedłszy z miasteczka, Witalis skręcił na drogę, prowadzącą do naszej wioski. Czyżbyśmy mieli przechodzić przez naszą wieś? A może jeszcze zajdziemy do chaty naszej i tam może zostaną znowu u przybranych rodziców? Myśl ta dodawała mi nowych sił i sprawiała, że szedł znacznie prędzej od Witalisa i jego psów.

— Nie śpiesz się! nie leć! — upominał mnie co chwila mój nowy opiekun.

Zwalniałem kroku, ale po chwili coś mnie na przód popychało i znowu wyprzedzałem wszystkich. (Ciąg dalszy nastąpi).

ZAGADKI.

SZARADA

nadesłana przez Ferdynanda S. ze zbioru jego pradziaka.
Pierwsze — jest zwierz podstępny, przemyślny z natury,
Drugie — wskazuje rzeczy w nijakim rodzaju,
Trzecie — choć włoskie, nad nim były się mazury;
Wszystko — zimny już miesiąc, liść szeleści w gaju.
Dzień dwudziesty dziewiąty, siódma w wieczór bije
W długiej nocy huk armat i ognistej broni. —
Polacy! święćmy ten czas póki duch w nas żyje,
Czas nowego tryumfu Orłów i Pogoni!

MAGICZNY CZWOROKĄT LICZBOWY.

63					1
3					62
4					61
5					60
					59
58					
57					
64				56	2

50 próżnych pól czworokątu należy wypełnić cyframi od 6 do 56 tak, by ośm cyfr pionowo, lub poziomo zliczone dały sumę 260.

ŁAMIGŁÓWKA.

a — bo — co — cz — e — ew — gi — cha — ig — ki —
ki — ki — ka — li — le — lu — mar — ma — men — ma
— no — oj — os — rch — ro — rok — sław — śc — tu —
u — y.

Jarzyna sadi się i sieje

Schowki na narzędzia któremi się szyje,

Jeśli się do czego nieład dobierze

Zwykle zakończy pacierze
Broń dawna strzałowa
Miasteczko niedaleko Lwowa
Imię lecz słowiańskiej wiary
Brzydko wygląda gdy niema pary
W rzędzie dwie samogłoski
Kogo dolega to ma i troski
Człowieka zachwyca
Dobre z nich futra, najczęściej kobiece,
O całości zaraz się dowiecie.
Zebrać końcówki z jednej i drugiej strony
A będzie król polskiej korony.

Rozwiązanie zagadki z nr. 42.

Szarada: zapalki.

Zagadka: Lwów.

Z NASZEJ KORESPONDENCYI.

Kochany Przyjacielu!

Usłyszałam w szkole nowinę, z którą radośnie i czempredziej pragnę się z kochanym Przyjacielem podzielić.

Siostra nauczycielka zapowiedziała nam konkurs z literatury polskiej. Stanie naprzeciw siebie ósma klasa dziewcząt i ósma klasa chłopców. Jesteśmy tem wszyscy bardzo zajęci i ciekawi, która też strona zwycięży.

O rezultacie tego konkursu napiszemy później w Macierzy Polskiej.

Tymczasem żegnam kochanego Przyjaciela.

Wanda Augustynowiczówna.

ze szkoły św. Stanisława Kostki, w Chicago.

Kochany Przyjacielu: —

Opiszę, jak i gdzie spędziłem wakacje dwa lata temu. Pojechalśmy wodą do South Haven, Mich. Podczas podróży okręt zderzył się z mostem który się dosyć wcześnie nie otworzył.

Kapaliśmy się codziennie. A raz małym się nie utopił, chcąc podnieść z dna jeziora złotawy kamyczek. Na drugi dzień matka chciała mnie uczyć pływania, ale się bał i uciekłem.

Niedługo potem znaleźliśmy tratwę, którą wyjechaliśmy daleko na jezioro. Po wesoło spędzonym czasie powróciliśmy szczęśliwie do domu.

Twój przyjaciel

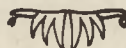
Orzeł z Avondale.

ODPOWIEDZI.

W. Aug. w Chic. Przyjacieli bardzo dziękuję za liścik i ciekawy jest która klasa zwycięży. Napisz również o tem.

Orłowi z Avon. Liścik twój ładnie i poprawnie napisany, staraj się na przyszłość pisać o rzeczach bieżących, które czytelników więcej daleko interesuje, niż stare. Pisz częściej.

Wszystkim Nowym Korespondentom: Przyjacieli proszę wszystkich swoich małych korespondentów aby najprzód zawsze pisali tylko na jednej stronie kartki, następnie przysyłając ro raz pierwszy swój list do „Przyjaciela”, trzeba obok pseudonimu koniecznie podać swoje imię i nazwisko, jak również szkołę i klasę, do której piszący chodzi. Na przyszłość tylko takie korespondencje będą uwzględnione i drukowane.



Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patryotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 80go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str.

Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; Julian Szczepański, Prezes; Agnieszka Nering, I Wice-prezeska; Maksymilian Brochocki, II Wice-prezes; Wincenty J. Jóźwiakowski, Sekretarz Główny; Władysław Sztanka, Skarbnik; Paweł P. Kucharzski, Dyrektor; Julian J. Nejman, Dyrektor; Feliks Augustynowicz, Dyrektor; Franciszek Siatkowski, I Marszałek; Jan Szpekowski, II Marszałek.

Ks. Feliks Ładoń, Redaktor; Dr. Bolesław Klarkowski, Lekarz Główny; Ludwik Jankowski, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; Teofil Gordon, Asystent Sekretarza Głównego; Ignacy Ciesielski, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. Piotrowski, Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza Głównego w Biurze Generalnem: W każdy wtorek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem; Skarbnika: W każdy poniedziałek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-ej do 10-ej. W niedziele, od godziny 8-ej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko-katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 46 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucję i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucya 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z dołączeniem jednego centa do każdego wypadku.

1

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płacił spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięczne.

OD ZARZĄDU GŁÓWNEGO.

Nasza energiczna wiceprezeska pani Angniezka Nering, zabrała się na seryo do pracy około pracy sprawienia wspaniałego sztandaru naszej organizacyi. Zorganizowała komitet, składający się z pań prezesek i sekretarek finansowych wszystkich oddziałów żeńskich i opracowawszy z nimi plan akcyi, wystosowała w tych dniach odezwę do wszystkich Macierzystek, zapraszając je do współudziału w tym przedsięwzięciu, które w postaci Wielkiego Sztandaru Macierzy Polskiej ma być widomą pamiątką solidarności wszystkich Polek pod tym Sztandarem złączonych.

Gorąco polecamy Siostronom naszym tę odezwę pani wiceprezeski i jej komitetu i mamy nadzieję, że piękny i rozumny projekt spotka się z jednogłośnem przyjęciem w każdym oddziale zacnych Macierzystek.

PIĘCIU BRACI.

Było raz pięciu braci, podobnych do siebie, ale różnego wzrostu.

Pierwszy z nich nazywał się „Wielki”, nie był on największy, lecz najgrubszy. Nie stał nigdy w jednym szeregu z innymi braćmi, najczęściej stawał naprzeciw nich i pochylał się ku nim.

Drugi nazywał się „Wskazujący”. Ten był bardzo ciekawy, łakomy i ruchliwy: zaglądał wszędzie i wszystkiego się dotykał. Często brał sobie do pomocy obu braci, stojących obok niego. Czasem, po pracy piśmiennej bywał zavalany atramentem.

Trzeci nazywał się „Średni”: ten był właśnie najwyższy.

Czwarty zwał się „Serdeczny”: ten nie wiele pracował, sam nic nie umiał zrobić i tylko innym pomagał; za to lubił się stroić i przywdziewał często złote pierścienie.

Piąty nazywał się „Mały”: był on istotnie najmniejszy, najmniej się też trudził.

Bracia nigdy się nie rozstawali. Czasem próbowali się rozchodzić; nie bardzo im to się udawało: gdy najbardziej się rozchylili, obejmowali końcami jedną piędź. Gdy byli zagniewani, ściskali się w kupę i grozili pięścią albo kułakiem, ale za to łajano ich.

Powiedzcie, czy nie znacie tych braci?



"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

**Najstarsza Księgarnia Polska
w Ameryce**

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

**Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,**
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkich szczegółach piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

**DZIENNIK
CHICAGOSKI**

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8m iu wielkich stronach.

Podaje dziennie wszystkie wład-
ności telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościcieli egzemplarz 1c.

Pieniądże można przysyłać przez
Money Order lub w jednocento-
wych znaczkach pocztowych.

**Drukarnia
Dziennika Chicagoskiego**

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarskim wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia**Dziennika Chicagoskiego**

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.**NADZWYCZAJNY PODATEK
NA POŚMIERTNE.**

Cyrkularz Nr. 29.

Na miesiąc listopad r. 1907 wy-
noszący 32 centy.

Donoszę niniejszem, że na mie-
siąc listopad roku 1907 przy-
pada podatek Nr. 29 na wszyst-
kich członków i członkinie Ma-
cierzy Polskiej, przyjętych do dn.
1-go sierpnia 1907 r., wynoszący
trzydzieści dwa centy, na po-
krycie niżej podanych wypadków
pośmiertnego:

Wypadek nr. 45 śp. Francisz-
ka Rumca Oddz. 9; suma \$500.00.

Zwracam uwagę, że nadzw-
yczajny podatek na pośmiertne ma
pierwszeństwo przed wszelkimi
innymi podatkami i musi być nie-
zwłocznie skolektowany i wpła-
cony do Kasy Głównej.

Z braterskiem pozdrowieniem
Winc. J. Jóźwiakowski,
Sokr. Główn. Macierzy Polskiej,
Chicago, dnia 20go paździer. '07.

**DO SZANOWNYCH PRENU-
MERATORÓW MACIERZY
POLSKIEJ**

Administracja Macierzy Pol-
skiej uprasza Szanownych prenu-
meratorów do nadsyłania prenu-
meraty za „Macierz Polską”. Za-
rząd poczty ustalił nową regułę
zmuszając wydawców do wykre-
ślenia z liczby każdego czytelnika
który nie ma gazety opłaco-
nej z góry, dlatego upraszamy
o nadsyłanie takowej; w razie
przeciwnym będziemy zmuszeni
każdego nieopłaconego prenu-
meratora wykreślić z listy.

Prenumeratę należy nadsyłać
pod adresem

Macierz Polska, 141-143 W.
Division str., Chicago, Ill.

PODAJCIE NOWE ADRESA.

Członkowie Macierzy Polskiej mają
niezwłocznieawiadomić Administra-
cję Macierzy Polskiej o każdej zmia-
nie swego adresu. Inaczej nie będą o-
trzymywali „Macierzy” regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na
karcie pocztowej, podając dokładnie
imię i nazwisko, stary adres i nowy,
numer domu, ulicę i miasto, oraz do-
łączyć nazwisko Oddziału i numer
swej książeczki podatkowej. Kartkę
adresować:

MACIERZ POLSKA.
141—143 W. Division St. CHICAGO.

Iskry humoru.

W kawiarni. Jasui! podaj mi dzi-
siejszy dziennik!

— O... dzisiejszego nie mogę, pro-
szę pana!

— Dlaczego?

— Bo go wziął do czytania pan pro-
fesor — a zanim ten skończy, to
dziennik będzie już wczorajszy!

Szczyt roztargnienia.

Profesor. Hm, wszak chciałem gdzieś
iść i oto zupełnie zapomniałem.

żona. Ależ, mężulku, chciałeś iść do
łóżka.

Profesor. Ale prawda, prawda, isto-
tnie tam pójść chciałem.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącym powietrzem, Wibracją, Elek-
tryką, Masażem, Gimnastyką, Hydroterapią,
Sugestią, Kąpielami słotowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Fotografie!

Wykonujemy w naj-
nowszym stylu i naj-
modniejszych po-
zy-
ciach. Słubne fotogra-
fie wykonujemy z wielką akuracją; nawet
w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy foto-
grafie pod gwarancją. Jedyna galeria, która po-
siada światło Rembrerta. Ceny zniżone dla grup,
towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO.

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble Streetami

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

NAGRODY

dla Członków i Członkiń pracujących nad powiększeniem szeregów Macierzy Polskiej.

NAGRODA PIERWSZA:

Za dziesięć nowych członków lub członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn).

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem „Hołd zasłudze” na przodzie, a nazwiskiem odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn).

Ten elegancki, szczerzoty medal z naszym godłem, w formie breloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym

na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba,

NAGRODA DRUGA:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Śliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

NAGRODA TRZECIA:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

OGŁASZAJCIE SIĘ
W „MACIERZY POLSKIEJ”.

N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph
Pókoj 307, Seie piétro. Tel. Central 608.
Wieczoróm 606 Noble ul. Tel. Monroe 242.
Miesz. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1864

Telefon Monroe 1298.
JEŻELI CHCECIE
kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniędzy na budowę lub zakupno, to zg.ście się do nas my wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,
agent ubezpieczenia od ognia członków
Fire Underwriters Association.
Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrobiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład
INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy ksiąg, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: ksiągki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, ksiągki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gwarantowana i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrziny, i t. p.

818 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 944.

Otwarte w dzień i w noc.

1907 SEPTEMBER 1907

S	M	T	W	T	F
1	2	3	4	5	6
8	9	10	11	12	13

Good Clothes
THE ARMITAGE
MILWAUKEE & ARMITAGE AVES.